

MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

SEZON 1
ODCINEK 6



**Influencerka, która
spadła ze schodów**

WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

Rozdział 1

Wejście do wielkiego dworu prowadziło przez ogromne marmurowe schody, z obu stron obramowane kamiennymi lwami (naturalnej wielkości). Za wielkim oknem, z którego sączyło się łagodne światło, majaczył cień kogoś ubierającego choinkę.

Pod to główne wejście podjechał z rykiem silnika wielki czarny hummer i zahamował, wyrzucając gejzer błota. Z samochodu wysiadły trzy osoby. Chłopak na przedzie dźwigał chyba z dziesięć pudełek, każde zapakowane w złoty lub srebrny papier i przewiązane kolorową wstążką.

Zacinał deszcz, postacie skuliły się pod porywem wiatru. Żadna z nich nie nosiła płaszcza ani kurtki. Dwóch chłopaków miało na sobie tylko lekkie bluzy, a jeden z nich w dodatku był w samych szortach – na ten widok zrobiło mi się jeszcze zimniej, mimo że byłam owinięta w puchówkę.

Silny wiatr zdmuchnął pudła pierwszemu chłopakowi. Poszybowały w stronę podjazdu, dwa wylądowały w wielkiej kałuży. Chłopak się tym nie przejął. Dogonił je i z rozmachem kopnął, aż poszybowały w powietrze. Potem chwycił inne prezenty, które jakimś cudem uniknęły błota, a kilka zostawił w wodzie.

Drugi chłopak włączył tymczasem szperacze na dachu hummera i oświetlał leżące w błocie

szczętki prezentów. Obaj najwyraźniej świetnie się bawili. Bezustannie chichotali i poklepywali się po plecach.

Dziewczyna, która była z nimi, niosła tylko dwa obwiązane wstążką pudełka. Niebacznie postawiła je na moment na dachu samochodu, a podmuch wiatru uniósł je w powietrze. Oba poszybowały w ciemność. Dziewczyna również nie wyglądała na przejętą utratą paczek. Zamiast gonić pudła, stanęła na jednej nodze z dłońmi złożonymi jak do modlitwy i zastygła w tej pozycji.

Po chwili jeden z chłopaków klepnął ją w ramię i wskazał drzwi. Wszyscy troje wbiegli do środka z kilkoma prezentami, które uniknęły zagłady, a pozostałe wiatr turlał po podwórku.

Nowo przybyli przeszli przez wysoki na dwa piętra hall i znaleźli się w salonie, którego sporą część zajmował stół nakryty śnieżnobiałym obrusem. Ogromna choinka błyszczała setkami światełek. Na jej szczycie sterczała wielka gwiazda, a bombki i łańcuchy, od których odbijało się światło lampek, rzucały kolorowe refleksy na świątecznie udekorowany stół. Przy każdym nakryciu – a było ich osiem – leżała starannie udrapowana serwetka, z jakiegoś powodu ozdobiona nadrukiem wypukłej trupiej czaszki. Z wielkich głośników, ukrytych dyskretnie w rogach pokoju, dobiegały dźwięki *Cichej nocy*.

Na środku stołu stała podświetlona szopka. Święta Rodzina siedziała przy żłóbku, osiołek

zajadał siano, krówka wpatrywała się z zadumą w dal, a trzej królowie podążali za Gwiazdą Betelejemską, która zresztą też była elektryczna i jasnym światłem wskazywała drogę. Obok stajenki starannie zaparkowano kilka modeli samochodów, między innymi fordą mustanga, takiego jak mój, tylko w skali jeden do pięćdziesięciu pięciu, no i czerwonego.

Młoda kobieta, która wyszła z cienia i zbliżyła się do stołu, miała długie rude włosy, szczupłą figurę, za którą wiele osób dałoby się zabić, i zupełnie niepasujące do siebie ubrania: cienkie legginsy, białą bluzkę i góralską kamizelkę. Uniosła srebrną pokrywę jednego z półmisków, sięgnęła po danie i w tym momencie z talerza buchnęła chmura białego dymu, a spod stroika stojącego na stole siknęła przezroczysta ciecz – prosto w twarz kobiety. Jednocześnie rozległ się głośny chichot. Kobieta zrobiła krok do tyłu, zachwiała się, zawadziła nogą o girlandę i klapnęła na pupę. Ponownie rozległ się donośny chichot i z za choinki wypadł chłopak w szortach, jeden z tych z hummera.

– Święta, święta i po świętach! – wrzasnął. – Poznaj renifera Rudolfa.

Wyciągnął spod bluzy maskę i założył ją na twarz. Trzeba było dużej dozy wyobraźni, żeby uznać to za przebranie renifera, ale chłopak najwyraźniej nie miał z tym problemu. Zaczął galopować po salonie, wydając odgłosy, które zapewne uznał za typowe dla reniferów. Przy

bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec, że pysk zwierzęcia jest wykrzywiony w upiornym uśmiechu i niewątpliwie lekko zakrwawiony.

– Tyłek mnie boli! – krzyknęła rudowłosa. – I to już trzecia bluzka dzisiaj.

– Ale klapnęła! – Młody człowiek w bluzie nadal chichotał. – Marcin, nagrało się?

Facet z kamerą, ukrywający się do tej pory za choinką, skinął głową.

– Szlag by to! – Ruda podniosła się z podłogi i ze złością zaczęła ściągać bluzkę. – Co z tą kolacją? – zapytała, stojąc przy stole w samym biustonoszu, zresztą bardzo ładnym. I droгим. Znam niewiele kobiet (oprócz siebie), które stać na bieliznę tej firmy. – Jest tu jakieś normalne jedzenie?

– Wybuchło. – Chłopak w bluzie diabolicznie zachichotał.

– Jestem głodna – zdenerwowała się rudowłosa. – Chciałabym, żeby przynajmniej czasem jedzenie dawało się zjeść, zamiast wybuchać. I to nie była nawet żadna świąteczna potrawa.

– Mamy świąteczne hot dogi! – ryknął chłopak do kamery. – Kochani! Całą ogromną misę świątecznych hot dogów. Jeśli jeszcze nas nie subskrybujecie, natychmiast to zróbcie. Aha, no i dawajcie łapki w górę. Zaraz zaczynamy świąteczny challenge w jedzeniu hot dogów, które przyniósł nam sam Święty Mikołaj. Nie kłamie,

wszedł gościu kominem z workiem hot dogów. Nastawiaj stoper. – Skinął na drugiego chłopaka. – Kochani, postanowiłem pokonać Żrekotka w jego konkurencji. Zjadł pięć hot dogów w minutę, ja postaram się zjeść sześć. Trzy, dwa, jeden, zero, start!

Drugi chłopak wcisnął przycisk i na ogromnym telewizorze ruszył licznik czasu. Chłopak w szortach pochłaniał kolejne hot dogi. Gęsty sos skapywał mu po bluzie, ale w ogóle nie zwracał na to uwagi.

– Pan Zdziwko bardzo się zdziwi, ale nie uda mu się mnie prześcignąć. – Narrację podjął drugi chłopak, z oczywistych powodów: Pan Zdziwko miał usta zapchane kłębem buły i parówek. – Zdziwi się, bo nigdy nie pobije Żrekotka. A wy, kochani, pamiętajcie: łapki w górę i subskrybujcie nasz kanał. Łeeeeee, dopiero czwarty hot dog, a tylko dziesięć sekund do końca.

Pan Zdziwko wybełkotał coś niezrozumiałego, wyciągając jednocześnie kciuk w górę i dając do zrozumienia, że nie powiedział ostatniego słowa, jeśli chodzi o zjedanie hot dogów na czas. Sięgnął po kolejnego, obiema rękami wepchnął go sobie do ust i wtedy rozległ się świdrujący dźwięk dzwonka.

– Koniec, koniec, tylko cztery – ucieszył się Żrekotek.

– Jakie cztery, pięć! – zagrzemiał Pan Zdziwko, kiedy już przełknął hot doga.

– Nie liczy się, po czasie. – Żrekotek zaczął tańczyć wokół stołu, wymachując rękoma.

– Pięć, było pięć. Rekord wyrównany – protestował Pan Zdziwko. – Kochani, jeśli uważacie, że było pięć, to dawajcie łapki w górę.

– Mamy sto dwadzieścia tysięcy polubień – mruzczała menedżerka Joanna Zaraz. Poznałam ją ledwie kilka minut wcześniej. Była nieco starsza od chłopaków, ale nie rzucało się to w oczy, bo tak jak oni była ubrana w obszerną bluzę i dżin-sy i nosiła nawet podobną krótką ciemną fryzurę. Teraz ze zmarszczonym czołem sprawdzała liczby na komórce. – Ciśnijcie dalej.

– Ciotka Klotka, Ciotka Klotka! – zaczęli skandować obaj: Żrekotek i Pan Zdziwko. – Dajesz, pobij rekord.

Rudowłosa w staniku zrobiła groźną minę i wydeła wargi.

– Nie ma mowy.

– Ale się boi – zachichotał Pan Zdziwko.

– Ciotka Klotka padłaby po jednym hoddożku – zawtórował mu Żrekotek.

Rudowłosa pokręciła głową, westchnęła ciężko i uderzyła dłonią w minutnik, po czym porwała z półmiska hot doga i jednym kęsem odgryzła połowę. Zaczęła żuć, ale nagle poczerwieniała i zakrztusiła się. Rozpaczliwie rozejrzała się dookoła, złapała butelkę coli i wlała sobie do gardła prawie połowę, po czym zaczęła się wachlować chusteczką. Kolor jej twarzy powoli wracał do normy.

Rozległ się dzwonek minutnika. Żrekotek i Pan Zdziwko zaczęli ponownie podskakiwać, zachwyceni psikusem.

– Czego tam dodaliście? – Ciotka Klotka z furją ruszyła w ich stronę.

– Nic takiego – powiedział Pan Zdziwko z niewinną miną, sprytnie umykając za fotel. – Trochę ostrej papryki.

– Rany, przedwczoraj wrzuciłeś mi to samo do kebaba – skrzywiła się Ciotka Klotka. – Ile można powtarzać numer z ostrą papryką?

– Do oporu. – Pan Zdziwko padł na kanapę, zastygając w bezruchu i udając, że nie żyje.

– Cięcie! – zawołał operator i Pan Zdziwko ożył. Wstał z kanapy, a Ciotka Klotka opróżniła do końca butelkę coli, wciąż patrząc na niego z wyrzutem.

– Sto osiemdziesiąt tysięcy, całkiem nieźle – zawiadomiła Joanna Zaraz. – Plus tysiąc pięciuset nowych subskrybentów. Pani Lucjo, jak pani sądzi, dobrze poszło?

– Chyba tak. – Wzruszyłam ramionami. – Przynajmniej jeśli chodzi o nowych subskrybentów.

– Tak, ale jak poszło, jeśli chodzi o świąteczny klimat? – doprecyzowała pytanie menedżerka. – Bardzo nam zależy, żeby wszystkie filmiki były utrzymane w tradycyjnym polskim klimacie świątecznym. Było tradycyjnie?

– No cóż, scena z prezentami na początku nie była zbyt przekonująca. Może i ten czarny hummer z ledami robi wrażenie, ale z tradycyjnymi

świętami bardziej kojarzy się bryczka. A najlepiej sanie, tylko potrzebowalibyśmy śniegu.

– No właśnie, śnieg! – Menedżerka klepnęła się w czoło. – Na śmierć zapomnieliśmy o śniegu. Bryczka to taka z koniem?

– Owszem, jeśli bryczka albo sanie, to koń w zasadzie jest niezbędny – przytaknęłam.

– Darek, gdzie ty jesteś? – huknęła menedżerka.

Po chwili zmaterializował się obok nas niski mężczyzna po trzydziestce. Zaczynał łysieć i zapewne dlatego postanowił ufarbować te włosy, które jeszcze zostały mu na głowie, na kolor karnarkowy. Nie posłużyło im to. Ani jemu.

– Potrzebujemy bryczki zimowej. Jak ona się nazywa?

– Sanie? – podsunął usłużnie Załatwiacz. Naprawdę nazywał się Darek Wybuch.

– Właśnie. Sanie. I ten biały. *Snow*.

– Śnieg? – zasugerował mężczyzna.

– Tak. Śnieg. – Joanna Zaraz uśmiechnęła się. – Na zaraz. Spędziłam całe życie w Japonii, rodzice byli na placówce, a potem zostałam – wyjaśniła na mój użytek. – Wciąż brakuje mi polskich słów.

– Dobra, załatwię – mruknął Załatwiacz i ruszył w stronę schodów, ale menedżerka go powstrzymała.

– Poczekaj. Pani Lucjo, a poza tym było okej?

– Hm, prezenty powinien raczej przynieść Mikołaj – zauważyłam. – I nie powinny odlatywać, kiedy zawieje wiatr. Wydają się wtedy puste.

– Bo są puste – oznajmił Darek Wybuch.
– Oglądałam taką reklamę o polskich tradycjach świątecznych – wtrąciła Joanna Zaraz. – Tam podjeżdża samochód bez Mikołaja, tylko z modelkami, a wszystkie prezenty fruwią.

Westchnęłam.

– Obawiam się, że Mikołaj jest nieodzowny, jeśli ma być tradycyjnie. Bryczka lub sanie również. Poza tym w czasie kolacji wigilijnej rzadko zdarza się challenge w jedzeniu świątecznych hot dogów.

– Mówiłeś, że to polska tradycja. – Menedżerka zmierzyła złym spojrzeniem Pana Zdziwko.

– No co, żartowałem. – Chłopak wzruszył ramionami. – U mnie w domu nie było hot dogów. Był za to wielki kubeł smażonych skrzydełek. Nie mogłem się doczekać przez cały rok.

– Niestety smażone skrzydełka również nie są tradycyjne. – Pokręciłam głową. – Makowiec? Kutia? Pierogi? Zupa grzybowa, ewentualnie barszczyk?

Po każdym moim słowie mina Joanny Zaraz wydłużała się coraz bardziej.

– Makowiec? – zapytała z powątpiewaniem. – Czy to bezpieczne? Nie chcielibyśmy, żeby były zażalenia, skojarzenia z narkotykami, makiem, heroiną.

– Bezpieczne i tradycyjne – potwierdziłam. – Może po kolacji jakieś wierszyki świąteczne?

– Świetny pomysł – ucieszyła się menedżerka. – Challenge dziewczyny na chłopaków. Czerwona Ka, Wilczyca, chodźcie tu.

Dwie dziewczyny, które zjawily się w salonie, wyglądały jak copy-paste z obrazka „współczesna nastolatka”. Długie włosy (u obu blond, u jednej naturalne, u drugiej peruka), krótkie dzinsowe szorty i jasne bluzy, podmalowane oczy, sprawiające wrażenie podbitych.

– Wilczyca, czyli Marysia Wilk, jest z nami od początku. – Joanna Zaraz przedstawiła tę trochę wyższą. – A Czerwona Ka dopiero od miesiąca. Zastąpiła Małą Tosię, która...

– Się szarogęsiła – podpowiedziała dziewczyna w peruce. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła małą czerwoną czapkę i założyła na głowę.

– Marlena Czerwonka występuje jako Czerwona Ka, czyli Czerwony Kapturek – wyjaśniła menedżerka. – Poszerzamy target. Z jednej strony dzieci siedem plus, z drugiej odbiorcy trzydzieści plus i, jeśli się uda, rodzice dzieci w wieku szkolnym. Dlatego potrzebujemy tej tradycji. Mówiła pani o wierszykach?

– Na przykład challenge z kończenia wierszyków. – Staralam się mówić językiem, który byłby zrozumiały dla obecnych. – Powiedzmy: Święty Mikołaj dużo prezentów miał... – Spojrzałam wy-czekująco na dwie dziewczyny.

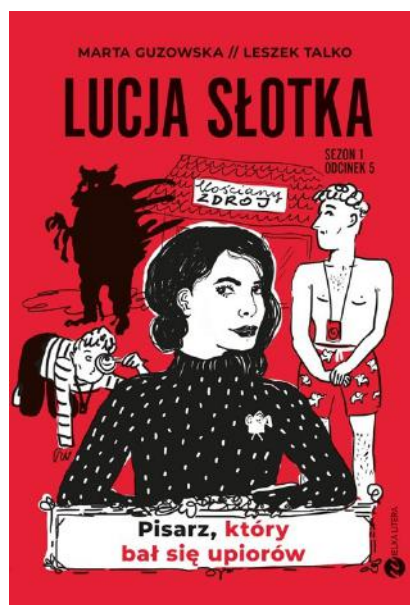
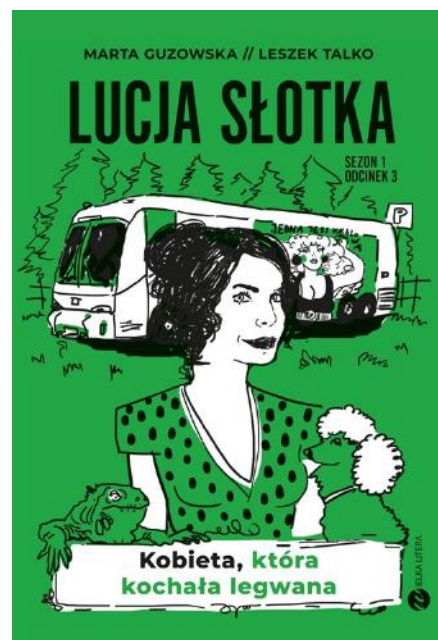
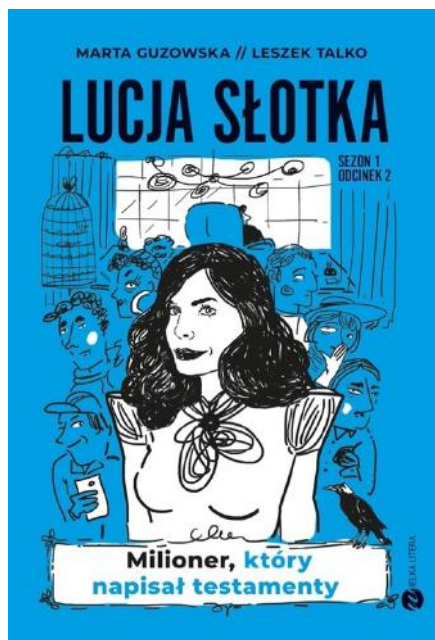
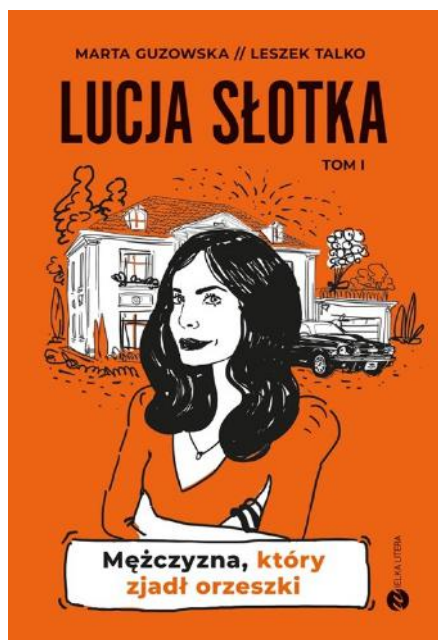
– Nikomu ich nie dał, wszystkie wywalił i fajki sobie popalił – zadeklamowała Czerwona Ka.

– Święty Mikołaj dużo prezentów miał, ale był głupawy, prezentami sam się bawił, dzieciom nic nie zostawił. – Wilczyca rozwinęła poetyckie

skrzydła, po czym skrzywiła się i mruknęła: – Ale to nudne. Nakręćmy coś w wesołym miasteczku.

Nie do końca takie wierszyki miałam na myśli, mówiąc „tradycja”. Ale przecież nie inkasowałam obłędnie wysokiej gaży za zmaganie się z codziennymi błahymi problemami.

Może zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl